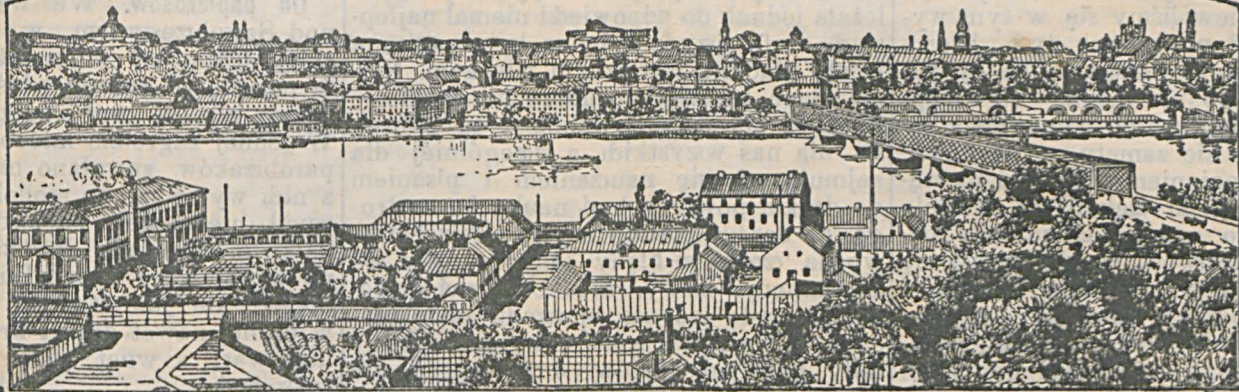


GAZETA ŚWIĄTECZNA



Wychodzi w WARSZAWIE na każdą NIEDZIELĘ

28 MARCA
DNIA 10 KWIETNIA 1904 roku.

Cena Gazety Świątecznej:

bez przesyłania:		z przesyłaniem:	
Na rok cały	2 ruble	Na rok cały	8 ruble
" pół roku	1 rubel	" pół roku	1 r. i 50 k.
" ćwierć roku	pół rubla	" ćwierć roku	75 k

Przedpłatę na Gazetę Świąteczną wysłać należy do KONRADA PRÓSZYŃSKIEGO, jej pisarza, redaktora i wydawcy, w Warszawie, Plac Tzech Kżyży (gdzie kościół S. Aleksandra), 11.

Numer pojedynczy Gazety kopiej. 5, z przesyłką k. 7.

Za ogłoszenia od drobnego wiersza lub jego miejsca: na stronie ósmej po 50 k.; na str. dalszych po 25 k. Małe ogłoszenia stałych czytelników darmo.

Utworky wykończone w Gazecie Ś. są własnością redakcji, więc tylko za jej przyzwoleniem przedrukowywane być mogą. Rękopismów nie zwraca się.

Ile dźwięków ma polska mowa.

Mowa — to jeden z najdroższych darów Bożych, któreśmy otrzymali. Mowa jest też zarazem najdroższym dziedzictwem naszym, które od tysięcy lat pomału się wytwarzało, rosło i rozwijało, i po przodkach na nas przeszło. A jest ona własnością nie jednego człowieka lub rodziny, ale wspólną własnością milionów ludzi, własnością narodu, społeczeństwa. Gdy ze swoją wyłączną własnością człowiek ma prawo robić, co mu się podoba, choćby ją zmarnować, popsuć, zniszczyć, pozucić, — to z własnością wspólną lub ogólną tak postępować niewolno. Każdy ma prawo z niej korzystać, nią się posługiwać; ma też prawo przykładać się do jej przymnożenia, wzbogacenia, naprawy i poprawy; ale nikomu niewolno nie takiego robić, coby jej szkodę jakąkolwiek wywodziło.

Z tego wszystkiego wynika, że język swój czyli mowę każdy obowiązany jest wysoko cenić, szanować jak świętość, strzedz od kalania i psucia. Nikomu nie godzi się i niewolno mowy swój na złe używać, ani kalać jej, ani jej lekceważyć, zaniedbywać. Człowiek głupi, lada świszcypała, nieraz wyrwie się z takim oto gadaniem: „Co tam! wszystko jedno, co i jak się powie, czy jak się co napisze, jakimi słowami i jakimi literami”. A drugi znowu, taki sam mądry, przekręca różne słowa nazęj mowy niewiedzieć po jakimu, albo sadi się na wyrazy gdzieś zasłyszone lub wycytane, których znaczenia do bze nie rozumie, i gada po cudacku, jak, nieprzymierzając, ów Stasiek Żur, odmieniec. On myśli, że tém pokaże większy rozum i nad innych się wywyższy; a nie wie, nie rozumie tego, że ludzie naprawdę rozumni po takiej mowie od razu kpa poznają, jak ciele po bezeniu, i nie rozum jego, jeno głupotę sprawiedliwą miarką zmierzają. Od takiej głupoty nie ratuje kpa nawet to, że on czytać, czy i pisać też umie. Bo czytanie czytaniu, pisanie pisanu, ani nauka nauce nie równa.

Znaleźć można we wszystkich niemal okolicach kraju, zwłaszcza między ludźmi

starszymi, takiego człowieka, który ani czytać, ani pisać nie umie, bo nie trafił za młodu na nikogo, koby go na książce nauczył, a elementarzy ułatwiających naukę jeszcze nie było. A jednak, choć mu ciężiej bez czytania, jest człowiekiem naprawdę mądrym, rozumnym. I mowa też jego jest prosta, taka, jaką ojcowie i dziadowie z przed wieków mówili, a rostopna i piękna. Jeśli to wieśniak w takiej części kraju, gdzie naprzykład ludzie w mowie „mazuzą”, to jest mówią: „capka” (zamiast czapka), „scęśliwy” (szczęśliwy), „trzy zeczy” (trzy rzeczy), to i on tak mówi, bo taka wymowa jest starodawna i powszechna w jego okolicy. Różne starodawne słowa i sposoby wymawiania w niektórych okolicach kraju przez lud wiejski używane — nie psują i nie szpecą mowy, nie czynią jej żadnej szkody, owszem, jeszcze ją nieraz wzbogacają i zasilają, jeśli się przez pismo po całym kraju rozpowszechnią. Oto przykład: W różnych okolicach nie wiedzieli nasi ludzie, nietylko nieczytelnicy, ale nawet i wielce uczeni, jak jednym słowem nazywać zwierzęta domowe czyli gospodarskie. Wszyscy i wszędzie u nas używają wyrazu bydło, ale oznacza on tylko krowy, woły, jeszcze owce, kozy, a do koni, psów, kotów, świń, ani do kur, kazeł i innych zwierząt się nie stosuje. A przecież potrzeba do mówienia i pisania takiego słowa, żeby wszystkie te razem zwierzęta pomocne rolnikowi ogarniało. Więc weszło u nas w zwyczaj nazywać je cudacznie, niewiedzieć po jakimu, „inwentazem”. Wyraz to ani polski, ani tłumaczący rzeczy, ani miły dla ucha i języka polskiego, czego dowodem, że lud go przekręca na „lalentaz”. Słowo to jest zupełnie bezmyślne, niewłaściwie używane. Wzięte z łaciny, ale tam całkiem co innego znaczy: nie zwierzęta, ale wogóle wszystko to, co się w czym mieniu znajdzie, gdy naprzykład badają i spisują cały majątek i wszystko, co w nim jest, po śmierci właściciela. A przecież nasz lud na Podlasiu i mazurski z nad jeziór na wszelkie razem zwierzęta domowe mówi Żywina, boć one żyją, a gospodarz je żywić czyli karmić musi. Niechże każdy osądzi, czy to nie dobre, piękne i trafne słowo? Czy nie stokrój rozumniejsze i właściwsze, niż „in-

wentaz”? I czyż nie powinniśmy go wszyscy w całym kraju do ogólnej skarbnicy mowy nazęj przyjąć, a przedewszystkiem czyż nie sama jedna tylko, jak dotąd, Gazeta Świąteczna, ale wszystkie pisma i wszyscy pisarze polscy nie są obowiązani zapoznawać przy sposobności ogółu naszego z tém słowem, jako też z innymi podobnymi wyrazami, i w powszednie używanie ich wprowadzać?

Lud, choć nienauuczony czytania i pisania, jeśli tylko ma zdrowy, niezamącony, niezepsuty „chłopski” rozum, a mówi po swojemu czysto, po prostu, jak przed wiekami mówiono, to może niejednej rzeczy nawet wielce uczonych ludzi nauczyć. A ta część ludu, która czyta i pisze, niechże od tego czytania rozumu coraz więcej nabiera, a nie traci go i nie głupieje. Kto czytać umie i lubi, ten jeszcze bardziej niż nieumiejący niech z mową swoją i z jej właściwościami stara się zapoznawać. Dla człowieka rostopnego, który łaknie światła, nie będzie to rzecz ani próżna, ani zbyt trudna, ani nudna.

Główną przeszkodą i trudnością, jaką człowiek na tej drodze napotka, są wady książek służących niby do nauki języka, a zwanych gramatykami. Obok rzeczy dobrych, potrzebnych, bywają w nich często różne objaśnienia niejasne, nauki nie uczące, jeno mące, niezgodne z prawdą i ze zdrowym rozsądkiem, z chłopskim rozumem. Niejedno, co się tam wyczyta, wysnute jest nie z prawdziwych badań, nie z głębszych rozmyślań, nie z czystego rozumu, i nie z chęci jak największego ułatwienia braciom nauki, ale jest powtazaniem to próżnych „formulek”, to przesądów, to rzeczy wprost błędnych; albo nawet bywa to — jakby „za panią matką pacierz”, bo do nauki języka polskiego przystosowują niestosujące się zgola do niego wyjaśnienia, do jakich doszli niektórzy obcy, naprzykład niemieccy, językoznawcy i gramatycy przy badaniach nad ich ojczystą mową.

Chcąc choć cząstkę takich trudności usunąć, choć jedną z przeszkód, zapór, rozbić, zadałem w Gazecie Świątecznej zamiast zwykłej zagadki pytanie naukowe: ile ma dźwięków mowa polska, obiecując skromną nagrodę temu, kto trafnie i najładniej zpomieędzy wszystkich na to odpowie.

Nie było powodu do obawy, że ktoś, znęcony obietnicą, nie łamiąc sobie głowy przepiše z kądkolwiek gotową już odpowiedź i niesłusznie nagrodę otrzyma. Przeciwnie, obawialiśmy się, a raczej powątpiewaliśmy, czy choć ktoś jeden da trafną odpowiedź. Wyznajemy, iż mieliśmy na myśli nie samych tylko czytelników, ale cały nasz ogół. Przy całym zaś powątpiewaniu, spodziewaliśmy się w tym wypadku trafności pręcej po tych, którzy z książek uczyli się mało, a na ławach jeszcze mniej, albo nic zgoła,—bo szczupłość zasobu wiadomości wynagradza im to, że uchronili się zamętu w pojęciach, sprawianego wpajaniem błędów i przesądów. Na odpowiedzi czekaliśmy znacznie dłużej, niż było zapowiedziane, ale nie-napróżno. Wątpliwość nasza okazała się płonną. Odpowiedź na zadane pytanie, i to nietylko najlepsza z pomiędzy przysłanych, ale zupełnie dobra, trafna, nadeszła, i nie jedna, nie od jednego tylko. Przypuszczenie też się ziściło: czysty, samodzielny rozsądek odniósł zwycięstwo, tak zwany „chłopski rozum” na wiezch wypłynął.

Ale cierpliwości! Wszystko się wyłoży kolejno. Zebrany z zadanego pytania plon warto i godzi się spożytkować, przedstawić, o ile można, całkowicie. Rzecz ta nie będzie nieużyteczna, ani też chyba i zbyt nudna dla czytelników Gazety, dla których i mowa nasza, i nauka, oświata nie są rzeczami obojętnymi. A pewnością będzie to przydatne niejednemu z ludzi wysoce uczonych, którzy czy to lud nasz wogólności, czy jego umysłowość starają się poznać, albo znów nad nauką języka polskiego pracują.

Odpowiedzi różnych przysłało osób 216. Czytelnicy to różnej płci, różnych stanów i zawodów. W tej liczbie z gubernji warszawskiej jest 31, z piotrkowskiej 43, z lubelskiej 32, z kieleckiej 23, z radomskiej 14, z kaliskiej 14, z siedleckiej 13, z wileńskiej 7, z plockiej 6, z łomżyńskiej 5, z suwalskiej 5, z grodzieńskiej 5, z wołyńskiej 5, z kijowskiej 2, z mińskiej 1, z mohylewskiej 1, z podolskiej 1, z twerskiej 1, z estońskiej 1, z Petersburga 1, z różnych niewyjaśnionych okolic 5.

Odpowiedź odgadywano na 50 różnych sposobów. A chociaż jeden tylko z nich może być zupełnie trafny, wspomniemy jednak o wielu, o których jest coś do nadmienienia. Między też niezupełnie trafnymi znajdują się i wcale niezłe, na wyróżnienie zasługujące.

Odpowiedzi na pytanie o dźwiękach mowy wykryły najpierw, że znaczna część narodu nie odróżnia wyrazu dźwięk od innych słów, wprawdzie podobnie, ale inaczej brzmiących. Oto słowa — *dźwięk*, *wdźwięk*, *dziewiek* — niektórzy rodacy nasi mają za jedno. Szesnastu odpowiadając o dźwiękach pisało wciąż „wdźwięki”, a jeden pisał „dziewiki”, chociaż każdy z tych wyrazów przecie znaczy co innego. *Dźwięk* — znaczy głos; naprzykład gdy uderzą w dzwon, to się rozlega dźwięk; gdy kto gra, śpiewa, krzyczy lub mówi, to też dźwięki słyszymy. Dźwięki mogą być głośniejsze lub cichsze, piękne lub brzydkie, miłe lub przykre. *Wdźwięk* zaś — to piękność albo ozdoba, przez którą jakaś rzecz sprawia nam przyjemność, bo miło ją widzieć, albo jej słuchać. Gdy kto ładnie, przyjemnie śpiewa, to mówią, że w jego śpiewie jest wdźwięk, albo — że śpiewa wdźwięcznie. *Dziewiek* znowu oznacza podziękowanie za coś. Naprzykład: człowiek pobożny składa dzięki Bogu. — Niechże odtąd przynajmniej wszyscy czytelnicy Gazety Świętecznej nie mylą się już w po-

dobnych wypadkach i dobrze te trzy słowa rozróżniają.

Ale znowu niech czasem kto nie pomyśli, że z dźwięków porobiły się wdźwięki przez nierozgarnięcie osób, którym się ta pomyłka przytrafiła. Przyczyną tej pomyłki nie była bynajmniej tępość umysłu, czego dowodem jest to, że znaczna, bo czwarta część odpowiedzi z tą pomyłką należała jednak do odpowiedzi niemal najlepszych, trafniejszych, a jedna była napisana wcale gładkim i zręcznym wierszem. Niema złego, któreby na dobre nie wyszło,—powiada przysłowie. Jakoż i ta pomyłka dla nas wszystkich, a szczególnie dla zajmujących się nauczaniem i pisaniem do druku, powinna być nauką i przestrożą, że bardzo znaczna część społeczeństwa wpada często w błędy jedynie przez złe zrozumienie rzeczy; niedobrze zaś je rozumie często jedynie z powodu podobieństwa w brzmieniu nazw i wyrazów. Aby tedy ludzi od błędów chronić i do ich błędów się nie przyczyniać, należy starać się w każdej nauce i w każdym pisaniu lub w objaśnieniach używać wyrazów i nazw o ile można takich, które się mocno od innych różnią. Sprawa to niby drobna, a jednak ważna, i nieraz wielkie skutki wywołująca.

Dalszy ciąg tego sprawozdania musimy odłożyć do przyszłego tygodnia.

Pisarz Gazety Świętecznej.

NOWINY.

Sądy. W Gazecie 1205-jej podaliśmy według słów pism urzędowych wyrok sądu okręgowego w Lublinie na włościan wsi Karczisk, oskarżonych o opór władzom policyjnym ściągającym składkę na nową szkołę, i wyrok tegoż sądu na mieszczan i włościan z *Uzgodowa*, oskarżonych o opór władzom policyjnej na zebraniu gminnym. Teraz „Lubelskie Wiadomości gubernjalne” piszą w tej sprawie:

„Dnia 21 (8) marca sąd okręgowy w Lublinie wyrokował w sprawie tzciego gromadnego oporu władzom policyjnym. Oskarżonych było 44 włościan ze wsi Wilczopola, gminy Zemborzyc w powiecie lubelskim. Treść tej sprawy jest następująca: W dniu 25 (11) listopada roku zeszłego przyjechali do wsi Wilczopola poborca powiatowy Baranowski, wójt Bolibok i dziesięciu strażników ziemskich ze starszym strażnikiem powiatowym Kaniugą na czele, których przysłał naczelnik powiatu, aby dopomogli zabrać i wystawić na sprzedaż zajęte już przedtem sądownie rzeczy włościan, którzy odmówili zapłacenia składek za lata od 1901 do 1903 na budowę szkoły we Wrotkowie i sopy przy budynku szkolnym w Mętowie. Poborca, wójt i strażnicy udali się najpierw do zagrody pod liczbą 1, należącej do Jana Kołodzieja i Józefa Porchyty. Ale tłum włościan otoczył zagrodę, niby żywym murem, i nie wpuścił ich na podwórze. Gdy strażnicy próbowali wejść przemocą, włościanie odpychali ich, wołając, że płacić nie będą, bo Wrotków leży od ich wsi o 10 wiorst, że chodzić tam na naukę dzieci ich nie mogą, i że oni wcale na tę szkołę głosów na zebraniu gminnym nie dawali, nie zgodzili się na nią. Poborca wraz z pomocnikami starali się wejść do zagród innych gospodarzy, ale próby te skończyły się na niczym. Bolibok i Kaniuga, zauważywszy, że najbardziej do oporu przyczyniają się Józef Rosły i Grzegorz Kołodziej zatrzymali ich, aby tym sposobem uśmierzyć rozruchy; ale tłum odebrał im zatrzymanych, i nie dał ani ze-

czy zajętych zabierać, ani więzić tych, którzy podbuzzali włościan do oporu. W obrobie oskarżonych stawał pomocnik adwokata przysięgłego Zdzienicki. Sąd okręgowy wysłuchawszy świetnej obrony uznał wszystkich 44-ech podsądnych za winnych i skazał ich na areszt od jednego do trzech tygodni.” („Lubelskie Wiadomości gubernjalne”).

Od papierosów. We wsi Deszkowicach pod Szczebzeszynom, w gubernji lubelskiej, spaliło się w przeddzień Św. Józefa przeszło 40 zagród włościańskich. Przyczyną pożaru był podobno papieros. W jednej zagrodzie młócono zboże. Gdy parobczaków zawołano na obiad, którzyś z nich wychodząc ze stodoły widocznie pozurcił niedopałek papierosa, a może zapalę niezgaszoną. Podczas obiadu ujrzano w podwózu dym. Ludzie z domu wybiegli, ale już stodoła i stajnia były w ogniu, nawet koni i krów nie zdołano uratować, a wnet pożar po wiosce się rozszerzył.

Z takiej samej przyczyny, od papierosa w stodole, spaliła się w sobotę 26 marca wieś Szczecin pod Rachowem, na powieści lubelskiej. W niecałą godzinę nad wieczorem spłonęły budowle 57-miu gospodarzy. Silny wiatr rozrzucił głównie daleko, a wyschłe strzechy zapalały się natychmiast. Wszystko w stodołach, stajniach, oborach i chlewach—zboże, pasza, i dużo—żywny poszło z dymem. Z chałup też mało co uratowano. Nęcza pogozelców na przednówku wielka.

Odczyty z ogrodnictwa. Warszawskie Towarzystwo Ogrodnicze wystarało się o pozwolenie na uządenie odczytów lub pogadanek w sprawach ogrodnictwa i wazwystwa w czterech miastach gubernji warszawskiej: w Błoniu, Skierniewicach, Łowiczu i Radyminie. Dla wypowiedzenia tych wykładów pojedzie tam jeden z członków zarządu Towarzystwa, Stanisław Bzozowski. W niedzielę 17 kwietnia wykład ma się odbyć w Błoniu, w niedzielę 15 maja—w Skierniewicach, w poniedziałek 23 maja (na Zielone Świątki)—w Łowiczu, w niedzielę 12 czerwca—w Radyminie. W każdym z tych miast pan Bzozowski odczyta po polsku lub wypowie pisanie swoje o następujących rzeczach: jak przygotować grunt do sadzenia dzew, jak je sadić, o ważniejszych robotach w sadach, o szczepieniu i oczkowaniu dzew owocowych, o wazywach najlepszych do uprawy i na pokarm dla włościan, jaki grunt najlepszy pod wazywa i jak go uprawiać, jakich nawozów wazywa potrzebują, jak wazywa uprawiać i przechowywać. Wykłady będą objaśniane za pomocą rysunków i okazów, a nadto słuchacze mają otrzymać po szczypcie nasion wazyw do wypróbowania. Wykład w każdym z tych czterech miast odbędzie się po sumie a przed niesporami, w oznaczonym zawczasu miejscu. Każdy będzie mógł przyjść i słuchać wykładów bezpłatnie.

Spółki gospodarsko-handlowe, prócz wymienionych już w Gazecie Świętecznej, zawiązały się jeszcze w następujących miejscowościach: w Drobinie w powiecie plockim, w Chruszczewie i Goszkowie pod Ciechanowem, w Pawłótku pod Przasnyszem, w Radzanowie w powiecie mławskim, i w Koziobrodach pod Raciążem w powiecie sierpeckim, wszystkie te sześć w gubernji plockiej; w Szwelicach pod Makowem i w Łętownicy pod Czyżewem w pow. ostrowskim, gub. łomżyńskiej, w Brusowie w pow. garwolińskim, gubernji siedleckiej; w Malicach w powiecie sandomierskim; w Dąbrowie-Zielonej koło Świętój-Anny

w stronach częstochowskich; i w Czarnocinie pod Skalbierzem w gubernji kieleckiej.

W Nasiechowicach pod Miedowem w gubernji kieleckiej, obok istniejącej już od lat kilku „Jutzenki”, zawiązała się teraz nowa spółka, wyłącznie mleczarska. Należy do niej 40-tu gospodarzy, którzy zamierzają wspólnie wyrabiać masło i wysyłać je do większych miast na sprzedaż. Budynek na masłarnię mają już gotowy, maszyny zaś sprowadzają za pośrednictwem Towarzystwa rolniczego w Kielcach.

W Poniewieżu odbyło się dnia 22 lutego zgromadzenie członków Towarzystwa wzajemnych pożyczek. Zjechało się 137 członków z p. Nikodemem Butrymem na czele. Na przewodniczącego zebrano p. Józefa Kozakowskiego. Z końcem roku ubiegłego, 1903-go, który był 23-cim rokiem Towarzystwa, miało ono 591 uczestników, a pieniędzy w obrocie 62506 rubli i poręczonych 562554 ruble. Obroty wynosiły 17866464 r. (17 milionów, 866 tysięcy i 464 ruble.) Udzielono zwłoki w wypłatach na 625060 r., odpisano na prawdopodobne straty 2696 r., zasobów umieszczonych na procentcie było 431995 r., zasób przezorności i pomocy dla urzędników gospodarczych wynosił 3652 r., zapas — 31746 r., w odwodzie zaś było 8238 r. Dochód ogólny wynosił 61478 r., a zysk czysty 7641 r., z których uczestnikom wydzielono jako zysk czysty po 6 kopiejek od każdego rubla udziału. Resztę przeznaczono na różne ofiary. Odbyły się wybory. Do zarządu powołano jednomyślnie p. Walerego Antonowicza. Do rady w zarządzie wybrani zostali: Władysław Ejdrygiewicz, Władysław Mejsztowicz i S. Berlin; do rady sprawdzającej: E. Brzozowski, Ch. Zingberg i S. Sobol. J. K.

Bajka o podatku. Prawie nie do wiary to, o czem piszą z miasta Kozienic na powiśle radomskim. Oto zaczęli bając tam ludzie, że ma być nowy podatek na gospodarzy, i to nie byle-jaki, bo po 5 rubli od małego i po 10 rubli od każdego większego bydłcia. I znaleźli się tacy głupi, co uwierzyli temu, i nagwałt wypredają bydło, byle tylko tak dużego podatku nie płacić. Nie należy wierzyć takim bredniom; puszczają je między ludzi chyba jacyś nieuczciwi handlarze, aby obławiać się na taniem kupnie.

Przekazy pieniężne za granicę. Od dnia 15 kwietnia urzędy pocztowe zaczęły przyjmować przekazy pieniężne do wysyłania za granicę, ale nie do wszystkich mocarstw, tylko do Austrii i Węgier, Niemiec, Francji, oraz Szwajcarii. I z tych mocarstw również można będzie teraz do nas przysyłać pieniądze nietylko w listach, ale i zapomocą przekazów. Za przekazem zagranicznym można będzie jednak przelać komuś naraz nie więcej nad 216 marek, 254 korony, albo 266 franków, czyli około 100 rubli.

Zacządeni. We wsi Imbramowicach pod Wolbromiem w gub. kieleckiej mieszkało dwoje staruszków: Kajetan i Marjanna Świdowie. Przed Świętami najęli oni we wsi kobietę, aby im wybieliła izbę. Kobieta ukończyła bielenie we wtorek 22 marca. W izbie było zimno i wilgotno, więc staruszkowie napalili w piecu węglem kamiennym. Potem żałując ciepła zasunęli szyber i pokładli się spać. Na drugi dzień sąsiedzi zauważyli, że u Świdów jakoś niezwykle cicho, nie słychać najmniejszego ruchu. Więc ktoś podszedł do okna, zagląda i spostzegła, że Świdwa leży na łożku, a Świdzina na ziemi, żadne zaś z nich nie daje znaku życia. Zrobił

się gwar, poschodzili się sąsiedzi, córki, wnuki. Zaczęto zazażonych cucić, posłano po księdza i po doktora. Ksiądz włożył na nich oleje św.; doktor ratował, ale napróżno, zazażeni przytomności nie odzyskali, i nocą ze środy na czwartek zakończył życie mąż, a w piątek żona. Pogrzeb obojga odbył się bardzo okazale, gdyż Świdowie byli zamożni. P. M.

Wiekowi. Z miasta Karkarał w głębi Azji, niedaleko od granicy Chin, piszą do nas:

Mieszka tu od lat kilku rodak nasz, Wincenty po Adamie Bonarek, urodzony roku 1799 we wsi Smażynie pod Klimontowem w gubernji radomskiej. Ciekawe i niezwykłe są dzieje długiego życia tego przeszło 104-letniego starca. W 1836 roku Bonarek był wzięty do wojska od hrabiego L., u którego służył jako woźnica. Przypadło to na niego za karę, bo koń w stajni złamał nogę. Bonarek wtenczas miał 37 lat. Złamanie nogi przez konia to wypadek, zdaje się, dość blahy, a jednak w życiu Bonarka miał on niezwykle znaczenie i raz na zawsze oddalił go od stron rodzinnych. Oddany do wojska, dostał się Bonarek do Brodeńskiego pułku strzelców w Moskwie, przesłużył tam do roku 1846 i poszedł z pułkiem przez Orenburg pod twierdzą Perowską. Potem był przy wzięciu fortecy Dżulek, a wkońcu przy wzięciu Taszkientu. W roku 1861 został z wojska uwolniony. Osiadł początkowo w gubernji tomskiej, a następnie przeniósł się do obwodu Semipałatyńskiego i tam długie lata służył w kopalniach Popowów. W ciągu ostatnich 15 lat początkowo służył u kupca Samaryna, który miał też gospodarstwo wiejskie. Bonarek wtenczas mieszkał na odległej osadzie w stepach, często prawie samotny. Ale gospodarzowi jego nie powiodło się w handlu i stracił wszystko, co miał. Więc biedny Bonarek, wówczas już stazec 100-letni, przewędrowawszy blisko 80 mil piechotą, doszedł do miasta Karkarał i tu osiadł, utzymywany przez gromadkę rodaków. Mieszka ze starym wdowcem, tatarzem, i ze swym dawniejszym gospodarzem, Samarynem. Bonarek jest wzrostu niskiego, zupełnie przytomny, zachował pamięć, po polsku mówi doskonale, chociaż przez wiele dziesiątków lat nie słyszał mowy rodzinnej; powiada, że pacierz i modlitwy, które umiał, utrwały mu tę mowę w pamięci. Włosy na głowie i brodzie ma szpakowate, zębów nie stracił, widzi i słyszy dobrze. W ciągu ostatnich dwóch lat zaczął słabnąć, skarży się na ból w nogach i krzyżu; w przeszłym roku po chorobie stracił włosy z połowy głowy, wkrótce jednak odrósł mu, i to nie siwe, ale ciemne. Powiada, że ojciec jego żył 120 lat. Cztery lata temu, Bonarek po trzydziestoletniej przerwie miał sposobność wypowiedać się, i teraz spokojnie czeka śmierci. Wie, że nikt po nim płakać nie będzie, bo nikogo z blizkich nie ma na świecie. Takie to losy człowieka, takie skutki złamania nogi przez konia! A może stazec nie jest taki samotny na świecie, jak myśli? Może znajdują się krewni? Może kto się odezwie? W. Bieńkiewicz.

We wsi Wiszczelicach pod Izbicą w gubernji kaliskiej zmarła, z półtora miesiąca temu, niejaka Wesołowska, staruszka 109-letnia. Od młodości trudniła się odbiorem dzieci. J. Sz.

W parafji Korycieńskiej, w powiecie sokólskim, zmarła dnia 2-go marca we wsi Długim Ługu ś. p. Marjanna Gołkowska, najstarsza wiekiem na całą szeroką okolicę. Żyła 104 lata. A jednak,

choć w tak późnej starości, nie była wcale zgrzybiałą ani niedołężną. Przeciwnie, do ostatnich dni życia zajmowała się pracą przy dzieciach, wnukach i prawnukach. S. P.

Na wiatraku. We wsi Bukowie-Wielkiej pod Chełmem przyszedł w poniedziałek 14-go marca do wiatraka 18-letni Antoni Cielński. Wiatr był wolny, śmigi pomału się obracały, więc chłopakowi przyszło do głowy zatrzymać wiatrak za koło. Ale za pierwszym razem koło go odepchnęło. On jednak postanowił swego dokonać, więc chwytając powtórnie. Ledwo jednak dotknął się ręką, koło go chwyciło, wciągnęło między tryby, i urwało rękę po samo ramię, aż żyły jak szpagaty powywlekało. Biedak miał jeszcze tyle siły, że dopadł do domu. Odwieziono go do szpitala w Chełmie, ale nie było już dla niego ratunku, bo krwi za dużo utracił. Przeżył jeszcze dwanaście godzin w strasznych cierpieniach i oddał Bogu ducha, pozostawiając w nieutulonym żalu matkę, wdowę. J. K.

Z Sulejowa pod Piotrkowem. Piotr Dutkiewicz, młodzian 19-letni, wyszedłszy we wtorek 9-go lutego na podwórze, zobaczył, że sąsiedzi bieżą się nie mogąc włożyć kłosa na wóz. Tzeba pomóc, — pomyślał. I wziął się ochozo do ciężaru. Kłoc dzwignęli. Wtém wymyka się im z rąk i spada całym ciężarem Dutkiewiczowi na nogę. Złamał mu kość przy samej stopie. Wnieśli go do mieszkania. Dopieroż smutek dla żony, ledwo przed tygodniem zaślubionej! Należało Piotra odwieźć zaraz do szpitala. Ale cóż, znaleźli się doradcy, którzy zaczęli rajcować babskie leki. Smarowali mu nogę różnemi maściami, aż ciało z kości obleciało, jak kora z suchego chojaka. Wtedy dopiero widzą, że źle. Dalejże więc z nim do szpitala! Cóż jednak mógł tak późno biedakowi choćby najlepszy doktor poradzić? Tzeba było coprędzej nogę upiłować, i to aż przy kolanie, bo ciało już tak wysoko ognio. Niech to nieszczęście będzie przynajmniej nauką dla innych, że w takich wypadkach nietzeba się bawić w babskie ani znachorskie leki, ale nie tracąc czasu szukać należy prawdziwej pomocy i ratunku u lekarza umiejętnego. T. J.

Zjawiska powietrzne. W poniedziałek 8-go lutego widziano w okolicy Kiele między godziną 7-mą a 8-mą wieczorem piękne zjawisko powietrzne. W północno-zachodniej stronie nieba ukazała się niby luna krwista, niby płat czerwono świecący, a po bokach jego również świecące słupy. Wszystkie te światła po dwakroć rozdzielaly się i zlewały się z sobą, a za trzecim razem rozdzielwszy się, rozeszły się i pomału znikły. S. B.

Dwaj gospodarze we wsi Dubicy pod Wisznicami, w gubernji siedleckiej, Tomasz Grzybowski i Piotr Szubarczyk, wracając dnia 19 marca około godziny 9-jej wieczorem z pogawędki od sąsiada, spostrzegli na niebie jakby łunę. — Pali się gdzieś — mówią jeden do drugiego. Stańmy i patzają. A tu luna owa posuwa się zwolna od wschodu słońca na północ. Wtedy poznali, że to nie luna, ale jakieś zjawisko powietrzne. Z północy posunęło się to dalej na zachód. Szło coraz prędzej, ale ciemniało już, gasło, aż na zachodzie zupełnie znikło. K. K.

Z Turka. Na jarmarku w mieście Turku, w gubernji kaliskiej, ceny były następujące: konie roboze włociańskie, dwulatki — po 75 rubli, trzylatki po 100 r., czterolatki po 140 r.; za krowy sześciol-

letnie płacono po 55 r., za stare na rzeź po 30 do 40 r.; jałówki roczniaki 20 do 25 r. Żyta kozec większy 4 r. 50 k., pszenicy 6 r. 60 k., jęczmień 4 r., owies 2 r. 90 k., lubin 2 r. 90 k., ptaszyniec 3 r. 30 k., gryka 4 r. 20 k.

ODMIENIEC.

(Z prawdziwego zdarzenia.)

(Ciąg dalszy.)

Smutno włóki się czas w zagrodzie Słazów, choć jasny i wesół był świat Boży. Jędzej był jeszcze bardziej milczący, niż zwykle. Słowa złego nie rzekł córce, bo ją miłował nad miarę, i dlatego bolał go smutek dziewczyny. Zośka zaniechała wesółych przyspiewków przy robocie, a w domu Jędzejowa cicho rozprawiała sama z sobą, kżatając się po izbie. Józiek nie pokazywał się w ich chacie, bo po wsi rozeszła się wieść o zakłęciu Słazowém. I od tego czasu w gospodarstwie Jędzeja zdazały się ciągle szkody: to ktoś stratował z mórg dojzalego żyta, to znów powyrwał z radłonek kartofle. Jakaś zła ręka złamała w sadzie szczepy już owocem pokryte, aż w Warszawie kupowane; a z pastwiska wrócili raz konie z pokaleczonemi nogami.

Józiek patrzył na to i głową kręcił. Słowami nie sypał, ale zdaleka począł stróżować nad dobytkiem Słazów. Nie czuł zawziętości do starego, bo miłował Zośkę. Prawda, że biedny, nie może się mieżyć z Żurem. Ale zarabia, i papierki do kasy klimontowskiej zanosi. Zbierze i tak majątek, byle Pan Jezus używał zdrowia. Poszedłby i teraz do fabryk, tam więcej ludzi zarabiać mogą, ale musi pilnować Zosinego dobra. Za co ma być ona pokrzywdzona? Czy za to, że go miłuje?

Więc to nocką, to do dnia, sznurkował koło zagrody Słazów. Raz przemierzył kijem tego pijaczynę Chmielika, gdy wycinał kapustę na Słazowych zagonach; to znów nocą, razem z Wojtkiem, odpędził jakichś włóczęgów z pod stajni. A ludzie wyśmiewali go, że na stróża przystał do Słazów i za złe dobrem odpłaca.

Nadeszło święto Bożego Ciała. Jędzej powiózł swoje kobiety do kościoła, do miasta. Założył młode konie, które właśnie do zaprzęgu wkładał. Szkapki chodźły z fantazją wielką, jak wiatr; chciał je stary przejechać i ludziom pokazać, razem z nowym wasągiem, okrytym wozystą derką, i ze swoim Modraczkiem, ślicznie ustrojonym. W mieście aż ciasno było od ludu: gospodarze z okolicznych wiosek, szlachta ze dworów, mieszczanie, — wszyscy zebrali się, aby uczcić tego Pana potężnego a litościwego, który „zagrody nasze nawiedzać lubi”. Jaki-taki niósł swoje troski, ubogą dań miłości, swoje potrzeby do nówek Pana Jezusa, — dziękując, prosząc, wielbiąc. Tylko kilku młokosów z Żurem na czele czas nabożeństwa spędzało w gospodzie, a ich krzyki i śmiechy mieszały się z głosem pobożnych pieśni. Po nabożeństwie gospodarze na wielkim rynku gawędzili właśnie o takiej swawoli i zgorzeniu.

— Wstyd i obraza Boska z tym Staśkiem! Odmieniec zupełni!

— I drugich psuje. Już się z nim zeszi Chmielik, Maciek i Pietrek.

— Nie może tak być! Chyba dobrodziejowi powiedzieć?

— Co z nim dobrodziej wskórają, kiej on nigdy w kościele nie postoi?

— Zamyślił się stary Sikora.

— Niema innej rady, — zekł, — jeno tatusia wyzucić z wójtowstwa, to i synalek straci fantazyję.

Milzeli wszyscy. To ten, to ów z miłą zafrasowaną mrucał:

— Trudno będzie. Pisasz gminny jest za nim.

— Sam kominiaz mówił — że najlepszy wójt jest z Żura starego.

— Póki on chce być, to innego nie dostaniemy...

— Żury mścić się będą.

— A jak znów na wójtowstwie zostanie, — to już trudno będzie wytrzymać. Ni własnej krwawicy, ni dziewczek nie zbronimy przed tym młodym zbytnikiem, tym odmieńcem.

— Bodaj zczesz!

Kiedy tak radzą gospodarze, kobiety i dziewczęta poszły do kramów. Zbliżało się wesele Jagusi Sikozanki, a na wesele potrzeba i wstążki, i kwiatka, i różnych białogłowskich drobiazgów. Więc kobiety rajcowały u Mendla, Rajzy, Fajgi, i o świecie Bożym zapomniały.

Stach Żur ze swymi towarzyszami, po poczęstunku w szynku, włożyli się po rynku, tzaskali z bata, gwizdali, i takie kzyki wyprawiali, aż strażnik podszedł do nich i do domu iść kazał. Zbierali się też do powrotu, śmiejąc się i zaczepiając kobiety po drodze. Przechodzili właśnie koło kramnicy, gdzie dziewczęta kupowały wstążki i kwiatki na wesele. Stał tam i Józiek, i zdaleka patrzył jak w obraz, w umiłowaną dziewczynę. Zoczył ją i Żur, a że już był pijany, więc na cały głos zaśpiewał:

„Koniki kaléki, a ja iść nie mogę;
moja ty dziewczyno, pokażże mi drogę,
pokażże mi, pokaż, moja Zosiu, drogę,
bo ja sturbowany znaleźć jój nie mogę.

Hu ha!
Zatoczył się i chwycił w pót Zośkę. Dziewczyna pisnęła, aż się rozległo. Ale w teje chwili Stasiek potoczył się, omal nosem nie zarył w ziemię. To Józiek skoczył na pomoc Zosi i rzucił chłopem, jak piłką.

Ale Żur, choć nietrzeźwy, siłę miał i nie darował swego. Jak się obróci, jak chwyci Józka za łeb! Aż się zakotłowało w tłumie! Kobiety zaczęły krzyżeć, chłopci kłąć, dziewczęta piszczeć. Aż wkońcu znów strażnik wdał się w tę sprawę i pijaków wyprawił z miasta. Stasiek miał podbite oko, ale i z Józkowej głowy sypały się włosy, jak szersz z bydlęcia na wiosnę. Na czole z rozdartej skóry sączyła się krew.

Uspokoiło się nareszcie, i kobiety wróciły do swoich targów. Zosia kupiła pięknej wstążki białej, co widząc Józiek kazał odmierzyć błękitnej jak niebo, i nieśmiało podał ją dziewczynie.

— Zośko, — szepnął, — naści...

Spójrzała bardzo prosząco, a dziewczyna wyciągnęła rękę po taki ładny podarunek.

Ale od strony kościoła nadchodził Jędzej.

Markociło się staremu czekać tak długo; koniom dokuczaly muchy i gorąco, i sam radby już do chałupy. Zostawił Wojtka przy wasągu, a sam poszedł po kobiety. I co zobaczył? Oto jego Modraczek brał od Józka wstążkę, od tego Józka, któremu nigdy córki nie da. Wspomniał na swoje zakłęcie, zmarszczył brwi, spójrzał z podębna na chłopca podrapanego, i zekł:

— Niechaj, Zośko! A ty, pijaku! nie podchodź do dziewczyny jak złodziej! Nie dla psa kielbas!

Chłopaki w śmiech, a Józiek aż zbladł z wielkiego wstydu i przykrości. Gniew, złość zaciskały mu pięści i pchały go

ku staremu; ale Zosia czerwona, zawstydzona, patrzyła na niego ze łzami w oczach, jakby go chciała przeprosić, pożałować, pocieszyć!

Więc chłopak spuścił głowę i ledwo przez ściśnięte gardło wymówił:

— Niczem w życiu nie ukradł, niech mnie Bóg sądzi...

Odwrócił się i prędko poszedł drogą ku wsi.

Jędzejowa trocha wyjechała z gębą na starego, że chłopca pozciewego skrzywdził. Ujęły się za nim i kumoski.

Więc Jędzej, aby nie zaczynać zwady, nacisnął czapkę na uszy i mruknął:

— Kiej dicesz tu rajcować, to siedź. Ja do domu jadę.

— A jeź se z Bogiem! Wrócim piechotą! — odzekała nadąsana Jędzejowa.

— Ha! jeź — to jeź!

Siadł z Wojtkiem do wasągu i jazda! Konie pomknęły jak wiatr. Niech lecaj próżniaki. Nie jeżdż to owsa, choć przednówek?

(Co było dalej, — podamy za tydzień.)

Gryff.

W powrocie z Rzymu.

(Ciąg dalszy.)

Z Wenecji wyjechaliśmy o godzinie 6-jej wieczorem. Spędziwszy prawie cały dzień na nogach, jesteśmy tak znużeni, że nawet wspaniały widok moza, które nas znowu otacza, ogarnia, nie jest w stanie nas ożeźwić. Spoglądamy na nie sennymi oczami i zdaje nam się, że fale jego miarowym ruchem do snu nas kołyszą. Nie zwracamy uwagi na nieznanym towarzyszy podróży; umysł znużony nie pragnie już więcej wrażeń, obawia się ich nawet; pożądamy tylko jednego: spoczynku, spoczynku...

W północy, w półczuwaniu dojeżdżamy o godzinie 11-jej wieczorem do miasta Udino. Pociąg zatrzymuje się. Służba kolejowa 102wiera dzwi, ale ktośby tam chciał wysiadać! Spoglądamy, czy nie zrobi się luźniej na ławkach, aby na noc choć trochę wygodniej się porozkładać. Wtém wchodzi konduktor i każe wszystkim wysiadać. Co się stało? Nic nie rozumiemy, tylko to pewna, że każą nam co prędzej się wynosić. Miła niespodzianka! Zamiast spać, trzeba wlec się z tłumoczkami do innego pociągu... Ale gdzie ten pociąg? Widocznie jeszcze nie przyszedł. Trzeba iść na dworzec. Znajduje się jakiś urzędnik umięjący mówić po francusku. Od niego dowiadujemy się, że... pociąg do Pontebby odejdzie ztąd dopiero około 7-jej rano. Boże wielki! Uszom swym wierzyć nie chcemy. Bo co tu począć? Niesposób tak późno szukać zajazdu w mieście nieznanym, nie umięjąc się rozmówić; trzeba przesiedzieć do rana na dworcu.

Światła pogazano; pozostaje oświetlona tylko jedna izba, obszerna jak stodoła, ale prawie pusta. Pod ścianami dokoła stoją szerokie ławy — i nic więcej w całej izbie: ani stołu, ani stołka. Kładziemy na ławach tłumoczki, a po chwili, zżuciwszy pychę z serca, i sami na gołych deskach do snu się układamy. Co się nam śniło tej nocy? Co prawda, nie pytaliśmy siebie o to nawzajem, ale pewno wszystkim śnili się cyganie, bośmy byli głodni; od czasu, jakeśmy się posilili w Wenecji kawą i zapasami zabranemi z Rzymu, nie mieliśmy nic w ustach. Tutaj, stroskani zawodem, jaki nas spotkał, nie postaraliśmy się na razie o posiłek, a po-

tem, kiedy głód zaczął dokuczać, jadłodajnia na dworcu była już zamknięta.

Budzimy się przed świtem. Jeszcze czas, pociąg nieprędko odejździe, niema czego się spieszyć ze wstawaniem. Ba, kiedy jakoś nikt nie ma chęci się wylegiwać. Wszyscy podnoszą się przeciągając się i postękując. Oj, bo nie było to, co prawda, królewskie spanie na tych twardych ławach!

Dzisiaj 6-ty maja. Dzień nie zapowiada się pogodny. Słońce, jakby zaspane, wygląda z za chmur i znowu się kryje.

Przychodzi pociąg. Na dworcu ruch. Wtém—patrzcie jeno! a toż to nasi towarzysze, maruderzy pozostali wczoraj w Wenecji... Udało się im: zabawili o kilka godzin dłużej w Wenecji i uniknęli noclegu w Udinie, którego nikt z nas do przyjemnych wspomnień z pewnością nie zaliczy.

Nareszcie jedziemy znowu. Okolica prześlizna. Droga żelazna wiję się wśród gór. Wspaniałe te olbrzymy i dziś posępnie wyglądają. Chmury tłuką się wśród nich ciężkie, jakby senne; wloką się nisko; nie mogąc wznieść się ku wieżochłom, czepiają się boków gór w połowie wysokości.

Co jakiś czas to na prawo, to na lewo, to bliżej, to dalej widzimy górskie potoki pędzące z wyżyn w przepaście. Leci, leje się taka ogromna srebrzysta struga wody, jakby tam w górze wśród skał, gdzieś aż nad chmurami, przechyliła się jakaś olbrzymia pełna czara. Leje się struga przejrzysta, połyskująca, srebrno-zielona; leje się, roztrzaca o skały, i zapieniona, odbiwszy się od nich, leci dalej w przepaść, i znów się rozbija, i coraz bardziej pieni się i kłębi. Aż wreszcie na samym dole, u stóp góry, wpada do łożyska rzeki, która z takich potoków urosła i, jak one niepohamowana, pędzi naprzód, wrąc brzegi, biała od wapna, które z gruntu wypłukuje. Fale rzeki toczą się szybko, biegnąc, spięzzone, jedna za drugą, jak stado owiec wśród zielonej, soczystej murawy.

Co chwila wszystko to znika nam z przed oczu; pociąg wpada do przekopu w górze i pogrążamy się na czas jakiś w ciemności. Ale wnet znowu świta dzień, i po chwili oczy ogarniają znów prześlizny widok.

Tu nagie szczyty, prawie czarne, poprzeczane białymi smugami śniegu, spoglądają ku nam z ponad chmur jak olbrzymie jakieś żałobne wiśniadła. Tam na spękanych, poszarpanych bokach gór sinieją gęste bory; tu w tajemniczój jakiejś, mrocznej rozpadlinie ukazuje się nagle cudne zjawisko,—ni to płat lamy srebrzystej, ni to most szklany, czy drabina z kryształu z wieżochłom kędyś w przepaści zrucona. To wodospad, potok górski tchnący taką jakąś świeżością, że sam jego widok, nawet zdaleka, umysł orzeźwia i rozwesela.

Ze dwadzieścia razy, a może i więcej, podczas przejazdu z Udina do Pontebby pogrążyliśmy się w ciemnościach przekopów, aby z tém większym potem zachwytem oglądać znowu cudne górskie widoki.

Wysiadamy w Pontebbie. Jest to ostatnia stacja, do której kolej włoska dochodzi; za chwilę przekroczymy granicę. Miejscowość ślizna, wśród gór. Zjawiają się ludzie z wózkami ręcznymi. Oddajemy im swe tłumoczki, a sami piechotą idziemy do pobliskiej stacji austriackiej, Pontafllu. Z żalem żegnamy ziemię włoską. Ileż wzniosłych wrażeń, ile pięknych wspomnień z niej unosimy!

Idziemy pod górę drogą rozmięktą od deszczu. Przekupnie z kozami pełnymi

pomarańcz zapraszają do kupna, kusząc widokiem ponętnych owoców. Ale trzeba się spieszyć za wózkami, na których wiozą nasze rzeczy. Zatrzymujemy się przed jakimś budynkiem drewnianym, jakby naprędcie, na dziś tylko postawionym. Straż pograniczna austriacka przegląda nasze tłumoczki. Pokazuje się, iż niepotrzebnie nas strazono, że nie pozwolą nam na granicy przewieźć bez cła różańców, obrazków i tym podobnych świętości, których każdy zabrał trochę z Rzymu na pamiątkę dla swoich. Nie robią nam co do tego najmniejszej trudności. Jednemu tylko z towarzyszy naszych, wiozącemu całe pudło, o mało co nie krąmlik takich pamiątek, kazano opłacić jakieś bardzo niewielkie cło. Po chwili jesteśmy na dworcu w Pontafllu. Odpocząwszy trochę i posiliwszy się gulaszem (potrawą węgierską z mięsa, pieprzną i palącą tak, że trudno ją przełknąć), odjeżdżamy w dalszą drogę koleją austriacką. Tu wozy kolejowe zbudowane już daleko wygodniej; wydaje się nam, jakbyśmy się przesiedli do droższej klasy.

Wypogodziło się. Góry teraz nie takie posępne, jak były zrana; śnieżne ich szczyty jakby jeszcze żywiej lśnią się w słońcu; rozpadliny, takie mroczne poprzednio, przysłania teraz tylko lekki cień niebieskawy, a zieleni ciemniejsza i jaśniejsza aż mieni się w oczach. Na stacjach mali góralki i góralki sprzedają wiązanki kocich łap, kwiatów górskich, które wyglądają jak gwiazdki szarawo-białe, o listkach jakby aksamitnych, nie zychających się, tak, że kwiat, jak nasze nieśmiertelniki, po zasuszeniu niewiele się zmienia i prawie nie różni się od świeżego.

Pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji. Przed nami pięty się ogromna góra. Szczytu jej nie widzimy; musielibyśmy wychylić się z okna, aby podniósłszy głowę, aż tam sięgnąć wzrokiem. Na stromym boku góry, miejscami nagim, miejscami porośniętym murawą i kzewami, widać na znacznej już wysokości dwa załomy, tworzące jakby olbrzymie stopnie o łagodnym spadku, pokryte jasno-zielonym puszystym kobiercem.

— To półka uprawna,—mówią gospodarze z naszej gromadki, i starają się dożyć, co tam rośnie.

W tej chwili na stromy bok góry zaczyna wstępować jakaś kobieta. Czerwona jej spódniczka i białe rękawy koszuli to ukazują się z pośród zarośli, to znowu wśród nich się kryją. Kobieta niesie na ramionach nosidła, a na nich uzeptione dwie duże konewki. Widać że młoda, bo z ciężarem zgrębnie i sprężystości wspina się na urwisko, na które kto inny chyba na czworakach by się wdzierał. Idzie nie prosto, ale jakby ścieżką krętą, zbacając to w lewo, to w prawo. Przyglądamy się jej z wielkiem zaciekawieniem. Oto doszła do jednego z owych dwóch półek. Zatrzymała się; pochyliła się, stawia konewki na ziemi, potem bierze jedną

z nich w rękę i wszedłszy na kobierzec z zieleni, zapewne na miętę między zbożem, zaczyna zwinnie a szybko z konewką się uwijać. Nawet nie odpozęła wdarszy się na taką wysokość. Śliznie wygląda tam na tle zieleni, oblana jasnością słońca. Spódniczka jej czerwień jeje jak mak polny, białe zerokie rękawy przy szybkim ruchu rąk fruwały jak skrzydełka motyla, a kropliste strugi wody spadające z konewki toczą się jej do nóg jakby najwspanialsze brylanty. Ale oto zatrzymała się. Czy wypoczywa? Nie, zarzuciła znowu nosidła na ramiona, uzeptiona u obu ich końców wypróznione konewki, i lekko, w podskokach prawie, zbiega na dół. Już jest blisko; widzimy jej twarz świeżą, zarumienioną, z której, zda się, tryska zdrowie i młodość.

Tak pracują w tych górach.

Pociąg rusza...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Świąteczni gazeciarze.

GOSPODARSTWO.

Poprawienie płodozmianu.

Upraszam o radę w sprawie następującej:

Jest 100 morgów do obsiewania; pole dzieli się na 5 poletek i obsiewa w taki sposób, jak pokazano w tabelce u dołu.

Koniczyna raz sieje się tak, jak w tabelce podano; a gdy drugi raz na to samo poletko wraca, zmienia się jej miejsce, bo sieje się tam, gdzie były kartofle, groch. Więc koniczyna na dawne miejsce wraca coś w 10 lat. Nawozi się corok tylko 20 morgów pod żyto, ale często nawozu braknie do nawiezienia całych 20 morgów ugoru, więc kawałek się nawozi przy ostatniej orce, i zaraz się sieje. Ziemia lekka, ale dosyć urodzajna; żyta na morgu nażyna się do 10-ciu kop, groch biały i kartofle rodzą pięknie. W suchsze lata bywało po 200 beczek kartofli na sprzedaż, nie licząc tego, co się przeznacza dla świń i do domowego użytku. W roku ubiegłym, mokrym, było 100 beczek. Grochu było coś z 500 pudów do sprzedania, a dużo go się wysypało, bo długo leżał na deszczu. Łąki błotne przeważnie, zaniedbane, mokre, porośnięte mchem; paszy mało, i to nędznej skutkiem zaniedbania łąk, bydło więc pasie się też po koniczyniskach i ugoze; część koniczyniska idzie na paśnik dla koni. Bydło i w zimie żywi się nędznie, trzęsianką ze słomy żytniej jazywniej i siana z błotnych łąk. Krów jest 25, kilka cielaków, trochę owiec, które tutaj się dobrze hodują. Owcom daje się w zimie siano lepsze. Mleka bardzo mało, bo i udój krów bez dozoru żadnego, więc pewno dziewczęta i nie wydają czysto. W najlepszym razie 24 krowy dawały dziennie 18 garncy mleka latem, i to bardzo krótko. Mleko sprzedaje się na garnce, po 9 kopiejek. Gospo-

10 morg.	10 mor.	10 mor.	10 mor.	10 mor.	10 mor.	10 mor.	10 mor.	10 mor.	10 mor.
Cały nawóz. Żyto.	Kartofle.	Jęczmień i owies z konicz.	Groch.	Koniczyna 1-roc.	Owies.	Koniczyna 2-roc.	Ugór.	Żyto.	Jęczmień i owies z konicz.
Kartofle.	Jęczmień i owies; wsiewa się koniczyna.	Groch.	Koniczyna 1-roc.	Owies.	Koniczyna 2-roc.	Ugór.	Żyto.	Kartofle.	Jęczmień i owies z konicz.
Groch.	Koniczyna 1-roc.	Owies.	Koniczyna 2-roc.	Ugór.	Żyto.	Kartofle.	Jęczmień i owies z konicz.	Groch.	Koniczyna 1 roc.
Owies.	Koniczyna 2-roc.	Ugór.	Żyto.	Kartofle.	Jęczmień i owies z konicz.	Groch.	Koniczyna 1 roc.	Owies.	Koniczyna 2-roc.
Ugór.	Żyto.	Kartofle.	Jęczmień i owies z konicz.	Groch.	Koniczyna 1 roc.	Owies.	Koniczyna 2-roc.		

darstwo to od 16 lat w dzierzawie, ale chciałoby się już je odzyskać i doprowadzić do porządku. Proszę o radę, co i jak zasiewać, żeby móż było lepiej żywić i dochód mieć lepszy z pola. Koni jest 9; hodują się tu dobrze.

Proszę o ułożenie płodozmianu z tych zbóż, jakie są w podanym tu płodozmianie, bo buraków i tym podobnych roślin pastewnych nie chcę. Wiem, że w ugorze po zwiezionym na wiosnę nawozie można siać wykę, ale powiadają, że żyto woli ziemię więcej odleżałą i wcześniej wyrobioną. Może wprowadzić hodowlę ptaszyńca lub łubinu? Jeśli można, to żytem by się zasiewało nie 20, lecz 30 morgów. Proszę więc mnie nauczyć, jak mam to zrobić. Może w ugorze siać wykę, kosić ją na zielono, świeżą, i w południe dawać krowom, bo z paszy wracają głodne? St. S.

W płodozmianie opisanym dobre jest to, że koniczyna rzadko wraca na to samo miejsce. Samo jednak umieszczenie koniczyny w jęczmieniu po życie jest niedogodne i może narazić na jej nieurodzaj.

Po bliższym rozpatrzeniu płodozmian dzisiejszy, jakby podwójnie obmyślany, jest niekorzystny, bo, właściwie mówiąc, jest to płodozmian nie 5-cio-polowy, tylko 10-cio-polowy, mający takie następstwo płodów: 1) ugor na pełnym gnoju, 2) żyto, 3) jęczmień z koniczyną, 4) koniczyna, 5) koniczyna, 6) ugor na pełnym gnoju, 7) żyto, 8) kartofle, 9) groch, 10) owies.

Widzimy tu dwa pola ugorowe, zupełnie niepotrzebne, bo do tego, by grunt średni, z natury pulchny, należycie poruszyć, poprawić, wystarczy najzupełniej 1 pole ugorowe. Na miejsce zaś zniesionego ugoru, zasiać można żyto, które po koniczynie 2-letniej dobrze powinno urodzić. Jęczmień z koniczyną powinien następować po kartoflach. W takim następstwie i jęczmień i koniczyna dobrze się udadzą.

Ponieważ chodzi o powiększenie paszy i pastwiska, należy wprowadzić, jako międzyplon, ptaszyńca (seradele), zasiewając go i w zboża ozime, i w jarkę. W ugorze zaś zasiać mieszankę z owsa, jęczmienia, wyki, i grozku polnego (peluszki) na pełnym nawozie. Grunt pod mieszankę należy podorać na zimę, gnój wywieźć zimową porą, natychmiast rozrzucić, a potem jak najwcześniej przyorać, aby można było zasiać mieszankę jak tylko się ociepli.

Ponieważ ziemia jest podzielona na 10 pól, więc podział ten radzę na przyszłość zatrzymać, nadając każdemu polu posiew zupełnie czysty, bez takiego, jak teraz, podwójnego obmyślania.

Następstwo płodów powinno być takie: 1) Mieszanka na pełnym nawozie; 2) żyto z ptaszyńcem zasianym na wiosnę; 3) kartofle; 4) jęczmień lub owies z koniczyną; 5) koniczyna; 6) koniczyna, jeden pokos, uprawa pod ozimę, gnój; 7) ozimina z ptaszyńcem; 8) groch z ptaszyńcem; 9) ozimina z ptaszyńcem; 10) owies z ptaszyńcem.

Przy tej zmianie zyskujemy: jedno pole mieszanki, 1 pole oziminy, i 4 pola ptaszyńca na pastwisko. W polu 8-ém, gdzie przypada groch z ptaszyńcem, można parę morgów obsiać samym ptaszyńcem i pozwolić mu dojrzeć na nasienie.

Po zaprowadzeniu tych zmian, będziemy mieli każdego roku: 10 morgów w ugorze mieszanki, 30 morgów oziminy, 20 m. koniczyny, 10 m. grochu, 20 morgów owsa i jęczmienia, i 4 pola obsiane ptaszyńcem na pastwisko.

Aby podnieść i ulepszyć gospodarstwo, przede wszystkim należy podnieść i ulepszyć łąki, gdyż siła z łąk przechodzi na grunta orne. Mając więc dobrą paszę, można trzymać więcej żywiny; większa ilość dobrze żywionych zwierząt da więcej dobrego nawozu, który, dodany ziemi, podniesie jej żyzność. Jest to więc jakby łańcuch nieprzerwany: jedno wynika z drugiego i obraca się na pożytek gospodarstwa, stopniowo ale ciągle powiększając plony i dochód.

Ulepszanie łąk trzeba rozpocząć od osuszenia ich przez odprowadzenie zbytecznej wody. Już samo osuszenie łąki wytworzy dla roślin całkiem nowe warunki wzrostu. Jeśliby, mimo to, ziemia była jeszcze zakwaszona, wypadnie zaradzić temu przez użycie wapna, kainitu i żużli Tomasa, które łąkę ostatecznie odkwaszą i zapewnią bujny wzrost dobrych roślin łąkowych. A. Strzelecki.

Listy do Gazety Świątecznej.

Ze wsi Rębkowa pod Garwolinem, w gub. siedleckiej.

Położenie.—Gospodarstwa.—Samouki.—Zarobki.—Las.—Szkody żądane przez zwierzynę.—Pastwiska.—Zmarnowanie wspólnego dobra.—Straty i niezgody.—Obcy korzystają.—Czytelnictwo.—Różni ludzie.—Szkoła.—Sady.

Rębków leży o trzy wiorsty od Garwolina, w stronie zachodniej. Składa się z czterech części oddzielonych od siebie, a każda z nich po tutejszemu ma osobną nazwę. Jedna nazywa się „Kolońje”, drugiej wschodni koniec nazywają „Podbiele”, a zachodni „Podsadowiec”, trzecia „Starawieś”, czwarta—„Borki”. Niedługo Rębków stanowił jedną całość i stał mniejszą częścią w tym miejscu, gdzie dzisiaj „Stara wieś”; dopiero gdy przy uwłaszczeniu wyznaczono gospodarzom grunta w różnych miejscach, i zaczęto się na nich osiedlać, wieś rozszła się na cztery części.

Razem w całej wsi jest przeszło 90 osad gospodarskich, przeważnie 12-morgowych. Niektórzy prócz tego dokupili po kilkanaście morgów od p. Kobyłskiego z Czystkowa, gdy rozprzedawał swój majątek. Ziemia jest dobra, i w działach całkowitych, co pozwala prowadzić dobrą gospodarkę. To też i gospodarzom tutejszym dobrze się powodzi. Hodują piękną żywinę, z której mają główny dochód.

Rzemieślników z zawodu niema u nas, z wyjątkiem jednego stolarza. Jest kilku samouków stolarzy i szewców, ale ci biorą się do swoich rzemiosł tylko w chwilach wolnych od zajęć gospodarskich. Zarobki są w okolicy jakie-takie. Tuż pod wsią idzie kolej żelazna, więc niektórzy, zwłaszcza młodzi chłopacy, chodzą na nią do roboty. Zarabiają wiosną i latem po 50, a jesienią po 40 kopiejek dziennie. Inni znów, także przeważnie młodzież, chodzą do lasu rządowego, dzierzawionego przez Kazimierza Hordliczkę, bądź do roboty leśnych, bądź do ogrodniczych. Prawie cała okolica zaopatruje się w drzewo z tego lasu. Graniczy on z polami Rębkowa. Zwierzyna, szczególnie dziki, wychodząc poza granicę wyrządzają na polach wielkie szkody. Serwitutów czyli służebności żadnych wieś nie ma. Zżekli się ich niedługo starsi gospodarze.

Wieś ma dwa pastwiska, które tak się między sobą różnią, jak dzień od nocy, jedno bowiem jest piaszczyste, drugie, zwane jakby na żart „bielą”,—błotne.

Na pastwisku piaszczystym rósł sobie niedawno młody las. Aż tu w ostatnich latach zaczęto z niego zawzięcie kraść drze-

wo. Więc poprzedni sołtys z pomocnikiem nie widzieli innego sposobu zarządzenia temu, jak wspólnie lasek wyciąć. Podzielono tedy drzewa, wyznaczono każdemu część należną i zaczęto zgodnie ciąć. Ale ci, którzy zwieźli prędzej swoje, zapragnęli jeszcze więcej. Dalejże tedy ciąć cudze. Rwali i wozili, aby do domu! Do dziś opowiadają świadkowie, że tylko Opatrzność Boska strzegła, iż podczas tego ogólnego rwetesu nie wydarzył się jaki śmiertelny wypadek. Na miejscu zielonego lasu pozostał się piach ze sterzącymi pniami. Lecz i pnie niedługo potrwały: w przeciągu roku wykarczowano je do szętu. Obecnie na wiosnę pastwisko to porasta miejscami trawą, na którą wyganiają żywinę mieszkańcy „Borków”, części Rębkowa najbliższej od owego pastwiska.

Drugie pastwisko, czyli tak zwana „biel”, było już dawniej za wspólną zgodą pomiezone na działki, które kosili. Stosowna uchwała była spisana i wciągnięta do księgi w gminie. Ale raz pewien gospodarz skosił nieprawie cudzy działek i z tego powodu był pociągnięty do odpowiedzialności sądowej. Wtedy ratując się, podszedł ówczesnego pisarza gminy, który wydarł ową uchwałę z księgi. Za taką sprawę powinien był dostać się do kryminału, a że go uszedł, to jedynie dzięki nieświadomości ówczesnych gospodarzy wioski. Ogłoszono później, że uchwała zginęła, i kwita! Gospodarz ów sprawę wygrał, twierdząc, że pastwisko jest wspólne, a dokumentu stwierdzającego rozbiór nie było. Uchwały powtórnie nie zrobiono, niektórzy zaczęli na pastwisku paść, i cała sprawa została, jak to mówią, na koszu. Później chcieli to pastwisko powtórnie rozebrać, ale wtedy nie zgodzili się na to mieszkańcy „Kolońji”. I w tym roku chciano kilka razy to zrobić, ale nie doszło do zgody z tego powodu, że pastwisko to jest nie wszędzie jednakowe,—w niektórych miejscach rośnie na niem piękna trawa, w innych lichsza, miejscami znajdują się grube pokłady wybornego torfu, a miejscami niema go zupełnie. Każdy zaś chciałby wziąć lepsze. I tak z niezgody ponoszą rębkowiacy corok wiele strat. Pierwsze z tych pastwisk, gdyby było pomiezone, możnaby obsiewać, gdyż piasek na niem nie jest zbyt lotny. A tak niektórzy tylko mają z niego korzyść pasąc żywinę.

Na drugim pastwisku możnaby działki, jak niedługo, kosić. Trawa rośnie tam dość obficie, ale niemożna jej sprzątać, bo jest zbyt mokro. Najlepszą część tego pastwiska wypasają corok mieszkańcy sąsiedniej wsi Czystkówka. Maleńki szmat ich pastwiska graniczy z naszą „bielą”, a oni od zimy do zimy, bez przesady można powiedzieć, pasą tam u siebie żywinę. Utrzymać ją na tym szmatku trudno; leci więc wszystko na pobliską „biel”. Ustawiano już nieraz wiechy na granicy, ale je czyszkowiacy zaraz niszczyli. Niejeden z naszych gospodarzy zajmuje im konie chodzące po „bieli”; wówczas właściciel przychodzi i wykupuje je, ale na drugi dzień wygania znów na biel, mówiąc „nie boja sia”. Trzeba bowiem wiedzieć, że mieszkańcy Czystkowa wyróżniają się od innych w okolicy mową zepsutą, zapewne wskutek częstego przebywania w tej wsi postojników. Włóścianina z Czystkowa łatwo poznać pomiędzy innymi po jego ciągnięciu „sia”, którego używa zamiast „się”.

Wieś nasza pod względem oświaty stoi nieźle, może nawet lepiej od innych w okolicy. Gazety Świątecznej przychodzi tu 7 egzemplarzy; czytają też i inne pisma.

Życie nam tu bieży kołem; żli i dobzy żyją spolem jako kąkol wśród pszenicy; lecz dobrych się więcej liży.

I u nas tu jedni płaczą, drudzy śmieją się i skaczą; nic dziwnego, bo na świecie są i ciernie, jest i kwiecie.

Jest we wsi i szkoła, a do niej wesoła dziatwa uczęszcza dość licznie. A jakże znów ślicznie wieś zdobiją te sady, które ją z gromady innych wyłączają! Z tych sadów już mają tu dobre dochody.

I stary i młody z całego Rębkowa potwierdzi te słowa.

Em. J.

Nowinki telegraficzne.

Wojna rosyjsko-japońska.

Z Petersburga, d. 2 kwietnia. Wódz naczelny wojsk rosyjskich w Mandżurji, generał Kuropatkin, donosi przez telegraf Najjaśniejszemu Panu, że, według opowiadań Korejczyków, w bitwie, która była dnia 28 marca przy zabudowaniach miasta Czeńczu, 40 Japończyków zostało zabitych, a stu ranionych. Ponieśli też oni znaczne straty w koniach. Ranionych żołnierzy Japończycy odesłali do miasta An-czu na nosach ręcznych, wynajawszy do niesienia ich 500 Korejczyków. Raniony w tej bitwie rosyjski dowódca oddziału kozaków, kapitan sztabowy Stepanów, zmarł nazajutrz. (O bitwie pod Czeńczu była szczegółowa wiadomość w Gazecie z zeszłego tygodnia.)

— Telegram z Tokja, stolicy Japońji, podaje stratę Japończyków w Czeńczu w liczbach 5 zabitych i 12 ranionych.

Z Portu Artura, d. 3. W zaprzęskiej sobotę, jeszcze 26 marca, rosyjskie okręty wojenne, stojące w Porcie Artura, wyszły rankiem z zatoki na morze i popłynęły ku gromadzie niedalekich małych wysp Miaodau. Oficerowie okrętu „Nowika” zobaczyli o godzinie 11-jej przed południem zdaleka na morzu jakiś statek parowy, ciągnący za sobą na linie żaglowy statek chiński. Nowik szybko za nim popłynął, a doganiając go zmusił strzałami armatnimi do zatrzymania się. Pokazało się, że statek parowy, nie duży, był japoński, „Hanienmaru”. Znalezione na nim i na żaglowcu 10 Japończyków i 11 Chińczyków, przytém różne dowody piśmienne, telegramy, mapy, towar i dwa buchadła. Ludzi i rzeczy zabrano na okręt rosyjski, a statek japoński zatopiono strzałami z armat, poczem Nowik razem z innymi okrętami wrócił do przystani Portu Artura. Po tej to wycieczce okrętów rosyjskich zjawily się nocą okręty japońskie próbując daremnie zagrozić wyjście z przystani Portu Artura (co było opisane w Gazecie z przeszłego tygodnia).

Tokjo, d. 4. Ogłoszono tu sprawozdanie dowódcy okrętów japońskich, admirała Togi, o ostatniej bitwie morskiej pod Portem Artura, która odbyła się nocą i zrana dnia 27 marca (przeczytaj jój opis w Gazecie z zeszłego tygodnia). Togo potwierdza, że próba zagrozenia wyjścia z zatoki Portu Artura przez zatopienie w niem czterech okrętów kupieckich nie udała się. Okręty te zostały zniszczone przez buchadłowce rosyjskie. W bitwie zginęło 2 oficerów i 2 żołnierzy japońskich, a ranionych zostało 9. Młodszy oficer japoński, Siguno, został zabity wybuchem buchadła w chwili, kiedy stojąc na jednym z okrętów kupieckich, do zatopienia przeznaczonych, miał go zapalić. Kapitan Chiroza, który kierował ratowaniem ludzi znajdujących się na zatopionych okrętach, widząc, że między uratowanymi braknie Siguny, popłynął łodzią szukać go, i trzy

razy wchodził na tonący okręt, aż został trafiony granatem (kulą armatnią nadziąną prochem i wybuchającą) i rozszarpany w kawałki. Japoński minister okrętów wojennych, Jamamoto, który odczytał sprawozdanie admirała Togi w sejmie, powiedział, że zagrozić wyjście z przystani Portu Artura jest bardzo trudno.

Niuczwan, d. 4. Z rozkazu namiestnika Aleksiejewa zaprowadzono w Niuczwanie prawa i porządki wojenne. Rossjanie zajmujący to miasto spodziewają się, że teraz, po spłynięciu lodu z rzeki Laohe, Japończycy przyplyną tu okrętami. Aby ich okrętów do rzeki nie wpuścić, zanzają w morze naprzeciwko jój ujścia buchadła podwodne pływające; aby zaś nie natknęły się na nie okręty innych mocarstw i kupieckie do przystani Inkou pod Niuczwanem przychodzące, wprowadzają je i wyprowadzają za każdym razem przewodnicy rosyjscy znający dobrze położenie buchadła.

— D. 5. W zeszły piątek przyjechał do Portu Artura z miasta Mukdena namiestnik Dalekiego Wschodu, Aleksiejew. Powitany uroczystie przez dowódcę okrętów rosyjskich, admirała Makarowa, oraz generałów Stesla i Smirnowa, namiestnik zwiędził uszkodzone podczas pierwszego napadu Japończyków okręty pancerne „Paladę”, „Retwizan” i „Cesarzewicz”, obejżwał warownie nadbrzeżne, i rozdał nagrody oficerom i żołnierzom za odznaczenie się w bitwach morskich pod Portem Artura.

Tokjo, d. 4. Sejm japoński zgromadzony w Tokju uchwalił różne nowe podatki na koszt wojny.

— D. 6. W ciągu ostatniego tygodnia od żadnej ze stron wojujących nie było ani jednej pewnej i ważnej wiadomości o nowych wypadkach. Tyle tylko wiadomo, że odbywają się pochody wojsk, obwarowywanie miejsc, w których wojska stoja, i przygotowania do bojów. Japończycy na Koreji posunęli się ku północy i zachodowi. Przednie ich straże ukazały się w niektórych miejscowościach nad rzeką Jalu, oddzielającą Koreję od Mandżurji.

Petersburg, d. 6. Generał Kuropatkin doniósł Najjaśniejszemu Panu: „Generał Kasztaliński zawiadamia, że nad Jalem wszystko spokojnie. Na wyspie Matuzo odbyła się strzelanina ochotników do przedniej straży japońskiej pod Wiczu. Po naszej stronie niema strat, a po stronie japońskiej pięciu zabitych, ilu zaś zostało ranionych, niewiadomo. Składy rosyjskie w Jonampie (przy ujściu rzeki Jalu do morza, naprzeciwko Antunu) zostały splądrowane i spalone przez nieprzyjaciela. W Jonampie stanęło trzystu ludzi piechoty japońskiej. (Zobacz w Gazecie 1206, gdzie jest zeka Jalu, a nad nią po chińskiej stronie Antun, po korejskiej zaś Wiczu).

Odesa, d. 4. W piątek, 1 kwietnia, okręt „Malaja” przywiózł do Odessy żołnierzy z zatopionego dnia 9 lutego w bitwie morskiej pod Czemułpem przy brzegu Koreji okrętu wojennego „Warega”. Dowódca tego okrętu ratując swe wojsko na stojące pod Czemułpem okręty włoski, angielski i francuski, wolał swój okręt zatopić, niż poddać go Japończykom. To też ocalałym z tego okrętu wojskom morskim wyprawiono w Odesie uroczyste powitanie. Naczelnik przystani odeskiej, generał Pereleszyn, wypłynął na spotkanie „Malaji”, a wszedłszy na okręt, wieszował żołnierzom szczęśliwego powrotu i wręczył każdemu Najwyższej ofiarowany order Św. Jezego. Przy huku armat wysiedli żołnierze na brzeg, gdzie miał do nich mowę dowódca odeskiego okrętu wojennego, generał Kaulbars. Z przystani

ruszyli do cerkwi, przed której dzwiami spotkał ich arcybiskup Justyn. Prezydent miasta podał gościom zwyczajem rosyjskim chleb i sól. Następnie zaprowadzono ich na ucztę. Nazajutrz popłynęli oni do miasta Sewastopola na Krymie, gdzie przyjmowano ich również uroczystie.

Z Indyj. Kalkuta, d. 4. Przed paru miesiącami Anglja wysłała z Indyj przez największe na świecie góry, Himalaje, niewielkie wojsko, tysiąc żołnierzy i sześć armat zaledwo, pod dowództwem pułkownika Junghusbanda i generała Makdonalda, do Tybetu. Nie nęci Anglików sam Tybet, kraj bardzo wysoko na górach wzniesiony, więc zimny. Ale obawiają się, żeby kiedyś w przyszłości nie doszły tamtędy do Indyj wojska rosyjskie. Ponieważ zaś niedawno zwiędzała Tybet wyprawa rosyjska i nawiązała stosunki z tamtejszym rządem, więc Anglja postanowiła przymusić tenże rząd tybecki do wyzezenia się przyjaźni z Rossją i do zawarcia przymierza z Anglja.

(Tybet należy wprawdzie do cesarstwa chińskiego i płaci jakąś dań Chinom, ale rządzą nim kapłani wiary buddyjskiej, którzy mają zawsze w mieście Hlasie swoje niby bóstwo w postaci żywego, wychowywanego przez nich i czczonego człowieka, zwanego Buddą. Wierzą oni i nauczają, że w tym ich Buddzie przebywa dusza pierwszego Buddy, który przed tysiącami lat był założycielem nowej wiary, od niego buddyjską zwaną.)

W tych dniach nadeszła wiadomość o pierwszej bitwie Anglików z Tybetanami. Anglicy posuwali się wśród wielu trudów pomału. Przed kilku tygodniami spotkał ich na drodze wysłaniec rządu tybeckiego. Prosił on ich, aby nie szli dalej i wrócili do Indyj. Ale Anglicy odpowiedzieli odmownie i ruszyli naprzód. Wówczas Tybetanie w liczbie około 1500 ludzi zbrojnych zastąpili im drogę. Wszczęła się bitwa. Wojacy tybecy strzelali z początku z za okopów, ale ze starych strzelb. Ujzawszy, że Anglicy ich otaczają, wyszli na nich z bronią sieczną. Lecz zaczęli od kul padać jak muły. Uciekając wreszcie dostali się pod strzały armatnie. Bitwa zakończyła się zupełną ich klęską. Około 500 zabitych i ranionych Tybetan pozostało na polu, a 200 wpadło w niewolę. Zginął ich generał, Tary. Anglicy straty swoje podają zaledwo na 9 ranionych. W ręce ich wpadł cały obóz Tybetan w miejscowości Guru.

Bombaj, d. 4. Dżuma w Indjach szerzy się strasznie; w zaprzęszym tygodniu zmarło od niej zgórą 40 tysięcy ludzi.

— D. 5. Z Arabji nadeszła wiadomość o strasnej zezii wyprawionej przez Beduinów na licznój karawanie pielgrzymów mahometańskich, wracających z Mekki i Medyny, miejsc grobu i urodzenia ich niby proroka i twórcy wiary, Mahometa. Każdy prawowierny muzułmanin (czyli mahometanin) stara się choć raz w życiu odbyć pielgrzymkę do tych świętych dla niego miast w Arabji. Teraz z takiej pielgrzymki wracał tłum ubożego przeważnie ludu, mahometan perskich i indyjskich. Szli oni przez wielką pustynię arabską, wśród której między ogromnemi obszarami nagich piasków lub skał siedzi gdziegdzie, w okolicach mających wodę i trochę zieloności, lud arabski nazywany Beduinami. Beduini mieszkają w namiotach, z którymi przenoszą się z miejsca na miejsce, czyli koczują. Trzymają i pasą konie, wielbłądy, potrosze bydła, i żyją w części z tego, w części zaś z karawan pielgrzymich lub kupieckich przez ich pustynie przechodzących. Mając broń, zatrzymują tych podróżnych i każą im się

okupować. Kto zaś płacić nie chce, tego odzierają przemocą, albo i zabijają. Sądzą, że teraz też tam się odbyła z powodu ubóstwa pielgrzymów, którzy nie mieli czym się okupić, a próbowali może siłą napady Beduinów odparować. Podobno aż cztery tysiące ludzi zginęło.

Sprawa macedońska.

Konstantynopol, d. 4. Mocarstwa nakładające Turcję do zaprowadzenia zmian w Macedonii, przeznaczyły tam 60 oficerów swoich, którzyby tych zmian dopilnowali, kierując strażą tamtejszą. Ale rząd turecki oznajmia stanowczo, że nie może tych obcych sobie oficerów razem już z podoficerami przyjąć więcej niż 25.

— W mieście Strumnicy w Macedonii Grek Chrystomanos strzelił dwa razy z rewolweru do biskupa bułgarskiego, Hierasima, ale chybił i sam został zatrzymany. Wypadek ten rozjątrzył Bułgarów przeciw Grekom, z którymi już i tak od dawna drą koty w Macedonii. Rząd turecki podżega umyślnie Greków przeciw Bułgarom, ażeby jedni drugich nawzajem osłabiali i łatwiej było ich trzymać. Grecy utworzyli w Macedonii nawet oddział zbrojny, aby walczyć przeciw oddziałom Bułgarów. Między tym oddziałem a bułgarskim była temi czasy bitwa, w której po obu stronach było około dwudziestu zabitych i ranionych.

Z Serbji. *Białogród, d. 4.* Panujący w Serbji od zeszłego lata król Piotr, pragnąc utrzymać znajomość i jakie-takie stosunki z mocarstwami zagranicznymi, zdołał nareszcie wyprosić ze swojego dworu i z głównych stanowisk w rządzie tych oficerów, którzy w czerwcu roku zeszłego zabili króla Aleksandra z rodu Obrenowiczów i jego żonę Dragę. Król obójcy owi jednak wzamian za posady przy dwoje otrzymali inne wysokie urzędy. Dwoje przywódcy przewrotu, pułkownicy Popowicz i Mazyn, zostali mianowani generałami, a przytém pierwszy z nich naczelnikiem dywizji wojska, a drugi naczelnikiem sztabu głównego.

— D. 5. Posłowie mocarstw mają wkrótce wrócić do Serbji.

Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. *Nowy-Jork, d. 4.* W kopalni węgla pod Praisburgiem w krainie Pensylwanji zginęło od wybuchu dynamitu, używanego w kopalniach do rozsadzania skał, 18 górników.

Ofiary.

Na dotkniętych najbardziej powodzią

i w związku z nią będącymi klęskami w całym ciągu złożyli:

Wojciech Zaręba z Golonoga 50 k., Józef Kłos 30 k., Jakób Kwiecień 50 k., Stanisław Salwa 10 k., Stanisław Arendarski 10 k., Jan Jędrasik 10 k., Jan Pękala 10 k. — Łącznie z Golonoga 1 r. 70 k.
Franciszek Kokoszyński z Kiszyniewa 1 r., Justyna Kulasyńska 1 r., Feliks Owiek 50 k., Karolina Kulasyńska 25 k. — Łącznie z Kiszyniewa 2 r. 75 k.
Franciszek Kalwasiński z Olchowa 25 k.
Kazimierz Dudas z Rewla 40 k.
Z Żeczkalni 4 r. 90 k.
Jan Sipowicz z Saratowa 46 k.
P. Karmaza z Rygi 66 k.
Zofja Jasiewiczowa z Michalewa 33 k.
Jędrychowski ze Zduńskiej Woli 20 k.
Stanisław Borsis z Dowspudy 50 k.
K. P. 4 k.
Wal. Frankowski z Osowca 15 k.

Razem 12 r. 34 k.

Z dawniejszemi zaś razem w redakcji Gazety Świętecznej złożono 1875 r. 92 k.

Na kościół na Jasnej-Górze w Częstochowie:

Paweł Kwapis z Łęzyc 1 r., Wiktorja Kwapis 30 k., Wojciech Jędrzejewski 15 k., Józef Domania 50 k., Tomasz Szymański 50 k., Jan Wójtowicz 50 k., Ignacy Mischak 50 k., Jan Mischak 40 k., Andrzej Szymański 25 k., Michał Ziętkowski 25 k., Jan Mischak 37 k., Franciszek Belczowski 50 k., Jan Pobratym 50 k., Jan Polit 50 k., Józef Pobratym 1 r. 3 k. —

Łącznie z Łęzyc 7 r. 25 k.
Jan Wąs z Belcza 1 r., Józef Denkowski 30 k., Ewa Wąs 30 k., Jan Chlebny 15 k. —

Łącznie z Belcza 1 r. 75 k.

Razem 9 rubli.

Z dawniejszemi zaś, za pośrednictwem Gazety Świętecznej złożono 17351 r. 57 k.

Na budowę kościoła Zbawiciela w Warszawie:

Jan Polit z Łęzyc 50 k.
Antoni Łojek 20 k.

Razem 70 k.

Ze złożonemi zaś poprzednio 218 r. 22½ k.

Na chleb dla ubogich dzieci Ś-go Antoniego:

Bezimiennie z Rudnik z podziękowaniem za doznaną łaskę 2 ruble.

Bulhak z Natalewska 75 k.
Florentyn Mościcki z Nura 15 k., Bolesław Mysliborski 30 k., Stanisław Wilk 20 k. — Łącznie z Nura 65 k.

Helena Jakubowska z Sorokoduby 4 r. 30 k.

Francoiszek Rudzki z Ostrowia 10 rubli.

Razem 17 r. 70 k.

Dla wdowy Grzelców w Siekierkach i jej dzieci:

Serafin Kzyk 25 k.

Wiktor Gzelak z Petersburga 3 ruble.

Dla najuboższych:

Helena Walis. z Łabgir 1 rubel.

Dla młodej zreumatyzmowanej osoby na leczenie się:

B. K. z Piasecznicy 50 k.

Na nędzę wyjątkową:

K. Wiśniewski z Osowca 2 r. 86 k.

Na dzieci pogańskie w Chinach:

P. Strymajys z Żeczkalni 1 rubel.

Na kaplicę Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Warszawie:

Sosnowska z Saratowa 1 rubel.

Na sukienkę do obrazu Matki Boskiej na Woli:

Wiktorja Popisówna z Warszawy 1 rubel.

Katażyna Brandyszewska 50 k.

Odpowiedzi Pisarza Gazety Świętecznej.

P. Łukaszowi P. w S. Z. W warunkach owej loterii stoi wydrukowane, że zamiast 200 r. loterji klasycznej pada 17 r., więc w tém oszustwa niema. Ponieważ zaś jest warunek także, że się od każdego rubla potrąca 15 k., więc pozostaje 14 r. 45 k., a na ówciér losu 3 r. 61 k. — Loterje takie jednak są wzbronione, odbywają się tylko potajemnie, a w razie wykrycia ich losy wygrane przechodzą na własność rządu. Więc kto się w te loterje wdaje, łatwo może być oszukany i sędownie swojego nie dojść.

P. Franciszkowi P. w Sosn. Ciekawiliśmy dowiedzieć się o tym „kawale, w jaki byście wpadli, gdyby nie przestrogi Gazety”, — jak pisacie. Pytacie się nas: „Czy ja dobrze postępuję, że tak wszystko czytam?” Lecz na to sami dajecie polewą odpowiedź trafnej, w słowach: „Bo... czas to pieniądz; czas krasoć sobie — jest to nie isć napród, jak ziemieśnik isć powinien.” Do tych trafnych słów waszych dodamy jeszcze, że nie tylko czasu szkoda na czytanie wszystkiego, ale, co ważniejsza, szkoda głowy, rozumu i duszy w człowieku, życia. Czytanie jest bardzo pożyteczne, i potrzebne dla duszy i życia tak samo, jak jedzenie dla ciała i życia. Ale na czytanie, tak jak na jedzenie, nie należy za dużo czasu tracić, ani się obżerać czytaniem, jak wiepż jadłem. Obżarstwo w czytaniu tak samo jak i w jedzeniu nie idzie na zdrowie i pożytek ani ciała, ani duszy. Zadaniem człowieka jest nie czytanie, ale praca pożyteczna dla ludzi i miła Bogu. Czytać powinien nie dużo, ale z pożytkiem, to znaczy: wszystko, co przeczyta, powinien pętrawić dobrze w swęj głowie, w swęj duszy, tak, jak pokarm w brzuchu. Pętrawi zaś tylko wtedy, kiedy wszystko, co wyczytał, dobrze zrozumie i dobrze rozważy w swęj myśli, i to, co dobre, przyswoi swęj głowie i sercu, swęj duszy, a wszelkie plewy, wszystko, co złe, niemądre i niesprawiedliwe, wykryje w odczyta-

nej czyzy, oddzieli od dobrego i wstrętem do tego złego się przejmie, wystzegając się tego będzie. Kto tak czyta, ten czyta niedużo, ale z czytania dużo rozumu i pożytku nabywa. Kto zaś czyta zbyt wiele, ten nie troszczy się ani o dobry wybór, ani o to, żeby wszystko zrozumiał i rozważył. W głowie jego i myślach robi się niestrawność, skład plew i nasienia dwastów, które dobremu wzrastać nie dadzą. Człowiek staje się słaby i chory na duszy. Z takiego czytania dostaje tylko skolowacenia, zawrotu w głowie i głupieje, choć jemu samemu wydaje się, że jest bardzo mądry. Chociaż i chce dla pożytku ludziom i sobie coś dobrego zrobić, ale błędne myśli, błędne starania, i mowa, i robota cała zwykle tylko szkodzą ludziom i narodowi.

P. Piotrowskiemu w Ł. To, coście czytali gdzieś o Dosi czyli Dorocie stułetniej, że od jej imienia pochodzi życzenie „do siego roku”, to tylko bajka zmyślona przez niebardzo mądrych ludzi. Nie rozumieli, co znaczą wyrazy „do siego”, udawali jednak mądrych, więc wyłożyli ludziom tak, jak potrafili, że to jedno słowo, imię jakiejś Dosi, co żyła bardzo długo. A tymczasem wiadomo, że dawni przodkowie nasi wypowiadali w ten sposób życzenia przy oplatku wigilijnym, w końcu starego roku, aby dobrze się działo „do siego roku”, to znaczy w *tamtym* roku, w nowym roku, co dopiero nadchodzi.

P. Mieleck. J. Widożnie tam, gdzie miód był zachowywany, jest wilgoć, dlatego miód kwaśnieje. Miód skwaśniały rozcieńczony gorącą wodą i mieszając bez przerwy, zagotować. Szumowiny występujące podczas gotowania zbierać starannie i przez wycucanie, a gdy już wypływać przestaną, wtedy przerwać gotowanie. Zeby miód nie zaczął się buzyć, trzeba dodać doń sporo cukru, najlepiej mączki cukrowej tyle, aby zrobić gęsty syrop miodowo-cukrowy. Syrop taki zlać do szczelnego naczynia, zabezpieczonego od wilgoci, i ustawić w chłodnym miejscu. Na wiosnę, gdy wypadnie pszczoły podkarmiać, syrop ten trzeba rozcieńczać wodą, aby był mączki jak miód świeżo wytłuszczony z niezasklepienych plastrów.

P. Bielawskiemu J. Do domu schronienia starców w Warszawie przyjmują tylko mieszkańców tegoż miasta; schronienie to pozostaje pod zarządem warszawskiej rady miejskiej dobroczynności publicznej. Jest także przytułek dla starców w mieście Górze-Kalwarji w gubernji warszawskiej; tam przyjmują zgłaszających za opłatą 120 r. rocznie, bez względu na to, gdzie są zamieszkali. Trzeba się najpród z zarządem listownie porozumieć, bo mogą być wszystkie miejsca zajęte.

P. Krzywk. Józefowi. Niech się Pan porozumie listownie z p. M. Kzywzkowskim w Żarnowie, gm. Topolicach, w gub. radomskiej.

P. Kubiak. Józefowi. Z cierpieniem takim, jak choroba św. Walentego, trzeba się udać do lekarza chorób nerwowych. W Warszawie jest wielu takich. Adresy ich wskażą bezpłatnie w każdej aptece. — „Podręcznik dla władz gminnych” zebrany przez Konica i Olzewskiego zawiera ową ustawę w języku polskim. Cena w oprawie 7 r. i 80 k.; bez oprawy tej książki niema teraz w handlu.

Z powodu świąt Wielkiéjnocy nie było ruchu na targach zbożowych i dlatego świeżych cen dziś nie podajemy.

POSADY pisarza i stelmachu są wolne w Dłużewie, poczta Stara-Wieś, gub. warszawska. Zgłaszać się tylko z odpisami świadectw. Wiadomość u p. Dłużewskiego na miejscu. 2780*—2—1

STRYCHARZ ZAWODOWY potrzebny zaraz w mieście Turku, gub. kaliskiej, dla dostarczenia półtora miliona cegieł na budowę kościoła. Robić się ją będzie z gliny parafjalnej na miejscu. Zgłaszać się prozę do proboszcza w Turku. 2722—3—1

DO SPRZEDANIA bez pośrednictwa 30 włók na dział, w połowie łąki i ziemia z pieńkami po wyciętym lesie, w majątku Swieze, powiecie chełmskim, gub. lubelskiej. Wiadomość w zarządzie dóbr Swieze, poczta i kolej w Dorohusku. 2721*—2—1

CHORZY na OCZY znajdują poradę w WARSZAWIE, przy ulicy SENATORSKIEJ, 32, w Zakładzie dla chorych na oczy Doktora KĘPIŃSKIEGO. Opłata za poradę 50 kop. 2484*—29

Redaktor i wydawca Konrad Prószyński.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Марта 1904 года.

Druk Gustawa Paprockiego, ulica Smolna, Nr. 3.